

gdy czuła, że siły jej słabną i zimno ją zмага, dojrzała Olę wracającą ze Żaleckim. Podbiegła uradowana i pochwytywszy jej rękę, zawołała drżącym głosem:

— Ach panienko złota! Nareszcie doczekałam się... Myślałam już, że zginę.

— Cóż się stało, Sabinko?

Obejrzała się trwożliwie i ciągnąc Olę ku ulicy Koziej, szepnęła:

— Panienko, przyszli żandarmi po panienkę.

Olga przystanęła bardziej zdziwiona, aniżeli zastraszona, i skinąwszy na Żaleckiego, aby się zbliżył, rzekła do niego:

— Wiecie, oni po mnie...

— Czy możliwe?!

— Tak jest — szepnęła strwożonym głosem Sabinka: — w salonie siedzi rotmistrz Bolcew, przed drzwiami od schodów jeden żandarm, a od kuchni drugi. A jakiś brodac, także żandarm, ze szaf jaśnie pana wyjął gazety i rewolwery.

— A więc rewizja w stylu wielkim — uśmiechnął się Bolek — i to z denuncyacji.

— To tylko Jan zrobił, bo taki wesoły — dorzuciła Sabinka, po chwili: — jaśnie pani błada i zmartwiona, dobierali klucze... I powiedziała, że panienska socyalistka, ale to tylko tak oni mówią — usprawiedliwiała się — ja wiem, że panienska najprawdziwsza Polka i dobra katoliczka, ale nie ja-kaś tam socyalistka.

— Tak, tak, Sabinko... Dawno przyszli?

— Będzie chyba ze dwie godziny, bo ja już czekam na panienkę przeszło godzinę... I udało mi się, niechże panienska ucieka jak najdalej, bo straszna rzecz wpaść im w ręce, zwłaszcza dziewczynie.

— Prawda, Sabinko, i serdecznie ci dziękuję za wiadomość... Jak ja się tobie wywdzięczę, uratowałaś mi życie.

— E, co tam gadać — wzruszyła ramionami — od tego panienska Polka i katoliczka, jako i ja jestem, chociaż z prostego stanu.

— Dzielną z ciebie dziewczyna! — uściśnął jej rękę Bolek.

— Iii, każda z nas Warszawianek taka — zaśmiała się zadowolona.

— Ale jak się wyrwałaś Sabinko? — spytała Olga.

— Niby po lekarstwo dla jaśnie pani... Ale sama nie wiem, co przynieść?

— Weź pięć proszków bromowych i kropli laurowych za dziesięć kopiejek — zaśmiał się Bolek i wsunął jej pieniądze.

— Jak mam powiedzieć w aptecę?

Bolek powtórzył i kończył:

— Dziękujemy ci, kochana... Może spotkamy się w życiu... Uratowałaś dwa życia, bo byłbym zginął dla panienki.

— Aha, rozumiem — zaśmiała się — ja się też coś domyślałam... Życzę też państwu młodym szczęścia, zdrowia i długiego życia... jakąż ja rada, że ten żandarm pójdzie z kwitkiem!

— I pójdzie napewno — zaśmiał się Bolek — ale teraz czas na nas. Chodźmy, Olgo, a tobie, Sabinko, serdeczne dzięki.

— Sabinko — ucałowała ją Olga — tyś mi najbliższą siostrą.

— Tyle ceremonii robi panienska — mówiła zmieszana Sabinka — i o takie głupstwo, które byle kto robi z naszych... Niechże panienska dobrze się ukryje i dziś wyjedzie, dobrze?

— Dziś, to nie... ale za dwa, trzy dni.

— Czy panienska żałuje sukien i bielizny? — zdziwiła się, — ale te można odesłać, a niechże Bóg broni, jeśli złapią... Szczęście do czasu.

— Masz słusność Sabinko... Pojadę!

— Szczęśliwej drogi, i niech Najświętsza Pan- na z Częstochowy ma w opiece.

— Dziękuję Sabinko... Do widzenia!

— Byle w lepszych czasach — dokończyła Sabinka.

Bolek skinął na dorożkę, i wsiadłszy z Olgą, dał adres fryzjera Lipinka.

— Dlaczego tam jedziemy?

— On ma najlepsze farby do włosów, przecież nie możesz, Olgo, pokazywać się na ulicy, tak jak dziś.

— Najlepiej obciąć włosy — radziła Olga.

— Będiesz tem widoczniejsza, zwrócisz uwagę mnóstwa osób. Kupimy farbę, przekształcisz się w brunetkę i musisz zmienić strój.

— Teraz? Dziś?

— Naturalnie... Znam na Wareckiej magazyn używanych sukien i okryć. Wybierzesz podniszczony żakiet, niemodną spodnicę, kapelusz zeszłoroczny i pójdziemy jutro na miasto.

— Hm... Jeśli uważasz to za konieczne, zrobie-

tak, na szczęście dziś odebrałam pieniądze z poczty. Ojciec przysłał mi na karnawałowe wydatki sto rubli.

— Tem lepiej... Mam i ja trochę, ale bądź co bądź radzę ci oszczędność, żyjemy w niepewnych czasach.

Dorożka stanęła. Bolek kupił farbę potrzebną, następnie Olga wybrała używane rzeczy, a gdy wsiedli do dorożki, Bolek dał adres swego mieszkania.

— Nie gniewaj się, mój drogi — mówiła Olga tonem uniewinnienia i prośby — ale ja nie będę nocowała u ciebie.

— A to dlaczego? Boisz się?

— Boję... Pojdę do Heleny. Ty jesteś bardzo dobry i bardzo cię kocham... I właśnie nie chcę być z tobą.

— Nie rozumiem tego — rzekł podrażnionym głosem.

— Rozumiesz Bolku... — ucałowała go — i proszę cię bardzo... nie psujmy naszej miłości, nie narażajmy jej...

— To głupi przesąd — mruknął zły.

— Nie pamiętam już gdzie, ale czytałam, że miłość podobnie jak motyl, bez skrzydeł jest tylko robakiem. I nie gniećmy tych skrzydeł, mój dobry, mój kochany, bądź szlachetny.

— No, zmuszać nikogo nie myślę — i wychylając się z dorożki, zawołał złym głosem adres Heleny.

— Dziękuję ci, Bolku — ucałowała go — tem goręcej cię kocham. No, rozchmurz się, uśmiechnij się, bądź dobry.

— Nie chcę nim być, bo jestem zły.

— Bolku, ja będę pokorna, posłuszna, ale nie w chwili, gdy ciemna zasłona kryje nawet jutro. Żyjemy na wulkanie i nie możemy wiedzieć, czy za godzinę nie znajdziemy się w cytadeli lub pod szubienicą.

— Więc korzystajmy z chwili swobody — zawołał Bolek.

— Tak mówisz?... Helena korzystała także z chwili... A dziś?

— Prawda Olgo, masz słusność — westchnął i pokornie ucałował jej rękę.

Dorożka stanęła przed mieszkaniem Heleny, a Bolek odprowadził ją do bramy:

— Jutro przyjdę zobaczyć, jak wyglądasz, a farbuj się bardzo starannie... Będę rano, dobrej nocy... Do widzenia.

W piątek już od samego rana stanęły większe fabryki, w których robotnicy byli dobrze zorganizowani.

Z polecenia komitetu do wszystkich mniejszych fabryk, pracowni, wysłano deputację bezbronną z wezwaniem, aby zaprzestano pracy.

A gdy nastał pełny dzień, wyznaczeni przez partię robotnicy obeszli sklepy, urzędy, sklepiki, żądając zwolnienia wszystkich od pracy. Posłańcy, dorożki, tramwaje, wozy ciężarowe i podmiejskie zatrzymywano i zawracano.

Około godziny trzeciej ustał wszelki ruch kołowy, natomiast tłumy ludności napełniły ulice.

Ta nagła przerwa życia przeraziła wszystkie władze, a zwłaszcza policję, która skromnie się zachowywała i o ile możliwości zniknęła z ulic.

Rząd wiedział, że robotnicy zaczęli strajkować, ale był pewny, że większość znaczna mieszkańców, kupcy, handlujący, przedsiębiorcy, pozostaną obcy ruchowi, i tylko dzielnice robotnicze będą świętowały a może i manifestowały.

W sobotę po południu powaga strajku trwała w dzielnicach czysto chrześcijańskich, a nastrój był pełen nadziei osiągnięcia pomyślnych rezultatów.

Nagle ta powaga chwili zaczęła się zamieniać na bezmyślną namietność niszczenia lamp, aparatów, urządzeń miejskich i rzucania się na prywatne sklepy i składy.

Liczba zorganizowanych robotników okazała się za małą, bezsilną wobec nadpływających mętów społecznych, które tę chwilę wyzyskać chciały na swą zbrodniczą korzyść.

Męty wzięły górę. Ogół ludności odwrócił się ze wstrętem od rozbestwionych tłumów.

Może nikt bolesniej nad Bolka nie odczuł rozczarowania tej chwili.

On w ten strajk włożył całą swą energię, inteligencję, duszę swoją, siebie samego, i oto stał na zgłiszczach i pogruhotanych resztkach swych marzeń i nadziei.

Właśnie wszedł w ulicę Marszałkowską i partrzał chmurny i posępny na strzaskane szyby sklepowe, na zdeptane towary, powalone latarnie i w dali ujrzał ludzi unoszących we workach skradzione rzeczy, a twarze spotkane miały wyraz zacieklności zwierzęcej i chytryści dzikiej bestyi.

Do jednego ze sklepów zaczęli się dobijać, podważać żelaznemi dragami drzwi i spuszczone żelazne żaluzje.

Skoczył, aby przeszkodzić rabunkowi, odrzucił silnie włamywacza...

Nagle dał się słyszeć gwizd ostry, cała hałstra poczęła się rozbiegać, gdyż był to umówiony znak zbliżania się wojska.

Gwizdnęły kule i Żalecki padł na ziemię, trzymając konwulsyjnie odebrany rabusiowi drag żelazny.

W tej chwili dobiegła do tegoż miejsca Olga, ukłękła przy Żaleckim, i widząc go leżącym bez ruchu i życia, podniosła w górę jego lewą rękę, gdyż leżała dziwnie wykrzywiona.

Pod wpływem bólu ocknął się omdlały, a widząc Olę nad sobą, uśmiechnął się. Próbował podnieść się, lecz znów padł, syknąwszy z bólu.

— Zdaje się, że lewa ręka zgruchotana.

Dwóch przechodniów widząc młodą i ładną kobietę, klęczącą przy rannym, zbliżyło się; pomogli stanąć Żaleckiemu i krwawiącą rękę umieścili na przygodnym temblaku.

— Uciekajcie państwo — zawołał ktoś śpieszący obok — patrol nadchodzi.

Opierając się o ramię Olgi, poszedł zwolna Żalecki w ulicę Wspólną, przy której mieszkała Helena.

Otoczony najczulszą opieką Olgi i starannością doktora, już po kilku dniach mógł się przechadzać po pokoju i parł gwałtownie do wyjazdu z powodu możliwości odkrycia Olgi.

Wprawdzie ona wychodziła tylko wieczorami, okryta chustką, gdyż była zameldowana jako służąca Heleny, ale Żalecki, rozdrażniony wynikiem strejku i raną, nie miał ni dnia ni nocy spokojnej o Olę.

Nareszcie tak dawno upragniony Komar zjawił się u Heleny, i po przywitaniu wręczył paszporty na wyjazd za granicę dla Olgi i Bolka.

— Komitet polecił mi wręczyć wam na koszt podróży i leczenia — wyjął pugilares z bocznej kieszeni — sumę...

— Wstrzymajcie się — zawołał, Żalecki chwytając go za rękę — pieniędzy przyjąć nie mogę i nie chcę.

— Ależ to komitet...

— Właśnie dlatego że komitet.

— Czyż macie tak dużo? — uśmiechnął się Komar.

— Mam nie wiele, ale tych pieniędzy nie chcę, nie pozwala mi na to uczciwość.

— Teraz ja was nie rozumiem. Oddaliście partii bardzo wielkie przysługi, pracowaliście z narażeniem życia, a teraz gdy partya ceniąc wysoko waszą osobę, pragnie wam ułatwić wyzdrowienie... wy odrzucacie!

— Nie przyjmuję... bo nie należę już do waszej partii.

W pokoju nastała cisza: o tem jego postanowieniu nie wiedziała ani Olga ani Helena.

— Wy!? Wy, Buczku!? — zdziwił się Komar.

— Nie mogę należeć. Ten strajk otworzył mi oczy, przejrzałem... Pamiętacie jak gorąco sprzeciwiałem się manifestacji bezcelowej i bezskutecznej... Liczyłem na strajk, sądziłem, że porwiemy za sobą cały naród, chciałem mu nadać cechę narodową, wywiesić hasło wolności... sprzeciwiliście się w imię socjalizmu. Zdawało mi się jednak, że gdy naród zobaczy, jak silni jesteśmy, jak dobrze zorganizowani, jak karni, samą siłą ciężenia stanie przy nas i z nami. Stało się inaczej... I zostaliśmy odosobnieni, osamotnieni, a dzięki tłumowi rabusiów i złodziei... zhańbieni.

— Czyż to nasza wina? — zawołał z głębokim żalem Komar.

— Wina naszej wyłączności... Głosiliśmy walkę klasową, sialiśmy nienawiść do innych klas, wskazywaliśmy na konieczność zdobycia warsztatu pracy... źle nas zrozumieli. Gdybyśmy nie stali tak wyosobnieni, gdyby naród poparł nasz strajk, czy sądzicie, że możliwą byłaby grabież, rozbijanie sklepów, kradzież towarów. Bylibyśmy zgnetli i rozpedzili tę męt wielkomiejskie, ale nam nie dowierzano, nie ufano, bo nasze hasła nie są hasłem narodu...

— I cóż myślicie robić? — spytał Komar.

— Walczyć o wolność, ale nie w imię interesu klasy jednej, ale w imię wszystkich Polaków bez różnicy klas, przekonań, wyznania.

— Szanuję was i cenię... Ale z wami nie pójdę. Ślubowałem, że sprawa wyzwiskiwanych będzie zawsze moją... i nie odstąpię ich. Bywajcie zdrowi — wstał Komar i podał rękę do uścisku — może się kiedyś spotkamy...

— Przy wspólnej pracy.

KONIEC.